



Niebezpieczne piękno #2

NIEBEZPIECZNE

pragnienia

Drugi tom serii o pięknej uciekinierce i gorącym ochroniarzu
bestsellerowej zagranicznej autorki!



J.T. GEISSINGER

Tytuł oryginału
Dangerous Desires
Copyright © 2019 by J. T. Geissinger
All rights reserved
Copyright © for Polish edition
Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne
Oświęcim 2022
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:
Agnieszka Nikczyńska-Wojciechowska

Korekta:

Sandra Pętecka

Edyta Giersz

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Przygotowanie okładki:

Paulina Klimek

Druk i oprawa:

Abedik S.A.

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-105-4

J. T. GEISSINGER

NIEBEZPIECZNE PRAGNIENIA

NIEBEZPIECZNE PIĘKNO #2

TŁUMACZENIE
MATEUSZ GRZYWA

OŚWIĘCIM 2022

Dla Jaya, bo zawsze pamięta, by opuścić deskę.

„Kobiety są jak torebki herbaty. Dopóki nie wrzucisz ich do gorącej wody, nie dowiesz się, jak są mocne”.

- Eleanor Roosevelt

ROZDZIAŁ 1

Eva

Chiński filozof Laozi powiedział kiedyś, że gdy ktoś głęboko cię kocha, daje ci to siłę, z kolei gdy ty głęboko kogoś kochasz, czerpiesz z tego odwagę. Muszę przyznać, że wchodząc na pokład żaglowca *Silver Shadow* mglistym, zimnym przedświttem, nie jestem pewna, czy aby się nie pomylił.

Bo prawdziwa potęga miłości wcale nie polega na sile ani odwadze, lecz na tym, że pozbawia cię egoizmu.

Niemal na pewno płynę na śmierć, a jednak smutno mi tylko z powodu Naza. Gdy odkryje, co zrobiłam, pęknie mu serce.

Ale lepiej, żeby było złamane, niż aby miał zginąć.

Wolę umrzeć, niż go narazić.

– Zakładam, że panna Evalina?

Nie znam mężczyzny, który właśnie zmaterializował się w gęstym cieniu, rzucanym przez wysokie, czarne żagle. Jest drobny, siwowłosy, ma radosne niebiskie oczy i idealnie dopasowany garnitur. Stwarza wrażenie profesjonalnego koncertysty, choć wątpię, by naprawdę specjalizował się w rezerwowaniu ludziom stolików w drogich restauracjach.

– Tak, jestem Eva. A pan? – pytam.

– Raphael.

– Jak ten renesansowy malarz? – zagaduję, starając się podtrzymać rozmowę.

Uśmiecha się przyjemnie.

– Właśnie tak. To ulubiony artysta mojej matki, stąd moje imię. Proszę sobie wyobrazić, że zabiła go gorączka, której nabawił się po zbyt upojnej nocy. Człowiek zachodzi w głowę, jakie trzeba mieć pokłady jurności, żeby umrzeć z powodu przesadnej kopulacji.

Wypowiada się w precyzyjny, niemal pedantyczny sposób, co dowodzi zbyt formalnemu wykształceniu i zamiłowaniu do ras małych psów, powstałych w wyniku niezliczonych krzyżówek. Dodawszy do tego francuski akcent, można odnieść wrażenie, że jest wyrafinowany. Pewnie mogłabym go polubić, ale doskonale wiem, jak zwodnicze bywają pozory.

Powoli wypuszczam wstrzymywane powietrze i pytam:

– Skrzywdzisz mnie, Raphaelu?

Jeżeli moja bezpośredniość nim wstrząsnęła, to nie daje tego po sobie poznać. Po prostu wspiera ręce na biodrach i odpowiada gładko:

– Och, nie, moja droga. Ja nie.

Akcent na *ja* sprawił, że się wzdrygnęłam.

Gdy wychodzi z za niego kolejny mężczyzna, który również ukazuje się w tym samym gęstym cieniu, znaczenie tej odpowiedzi staje się jasne. Ten nie jest uderzająco grzeczny i nie ma eleganckich manier. Stanowi dokładne przeciwieństwo Raphaela. Jest wysoki, wytatuowany, muskularny, ma rozmierzwione ciemne włosy opadające na szerokie barki, wyraźnie zaznaczony łuk brwiowy i dłonie, którymi mógłby miażdżyć czaszki.

Mierzy mnie poważnym spojrzeniem bezlitosnych oczu, jego wargi są bezwzględnie zaciśnięte.

Na obrzeżach mojego wymuszonego, zewnętrznego spokoju, czai się widmo hysterii. Napinam mięśnie, bo przecież

przysłałam tu dobrowolnie. Nie mogę już pęknąć. Dmitrij da mi mnóstwo okazji, będę mogła pękać do woli, zanim ostatecznie mnie złamie.

Albo zanim ja złamię jego.

– Gdzie Dmitrij? – zwracam się ponownie do Raphaela, który przez moment duma nad moim pytaniem.

– Tego nie mogę powiedzieć, natomiast mam prawo ujawnić, że powierzono mi obowiązek zabrania pani do niego. Oraz... proszę mi wybaczyć niefortunne ingerowanie w pani prywatność, ale na pewno pani zrozumie... w toku podróży mam zawiadamiać pana Ivanova o pani usposobieniu – wyjaśnia rzeczowo.

Przekład na ludzki język: może i zachowuję się przyjacielsko, ale nie jesteśmy przyjaciółmi. Nie zapomnij sobie, kto tu rządzi.

– Powinna pani też wiedzieć, że Killian... – tu wskazał na cichego oprycha – ...otrzymał od pana Ivanova polecenie karania każdego... nieakceptowalnego zachowania.

Zacięta gęba Killiana wykrzywia się w cień diabelskiego uśmieszku.

O, Boże. To nowość. Dimitri musi być na mnie niewiarygodnie wściekły, skoro to zatwierdził. Odpowiadam dopiero po chwili potrzebnej mi na uspokojenie oddechu.

– Rozumiem. Dziękuję ci, Raphaelu.

Uśmiecha się do mnie promiennie. Killian wygląda na rozczarowanego moją uległością, a przynajmniej tak mi się wydaje, ale nie mam czasu się nad tym zastanawiać, bo podchodzi do mnie i wyciąga swoje wielkie, mięsiste łapska.

Gdy łapie mnie za ramiona, odruchowo kurczę się w sobie. Jestem bardzo rozczarowana tą reakcją. Rozkłada moje ręce na boki i przeszukuje mnie w poszukiwaniu ukrytej broni.

Jest przy tym dokładny i brutalny. Jego twarde palce wbijają się w najczulsze części mojego ciała – pachy, brzuch, uda – aż krzywię się z bólu. Gdy wsuwa dłoń pod sukienkę i przesuwają ją do góry, w stronę krocza, wykręcam się i bezradnie skamle.

– Wystarczy, Killian – mówi Raphael z delikatnym zdenerwowaniem.

Killian się prostuje. Wpatruje się we mnie spod nisko wiszących brwi, jak drapieżnik na zdobycz. Odwracam wzrok, ale dostrzegam kątem oka powrót jego diabelskiego uśmiešku.

Raphael odkaszlnął i mówi:

– Skoro już się wszyscy zapoznaliśmy, czas nam w drogę. Witamy na pokładzie, panno Evalino.

Odwraca się i znika w kabinie, zostawiając mnie samą z Killianem i jego wygłodzonym spojrzeniem.

Na tle ciemnego nieba migoczą światła Hell's Kitchen¹. Mętne wody rzeki Hudson chlupoczą w świetle księżyca w trzeciej kwadrze. Co prawda to jeszcze nie Halloween, ale w powietrzu czuć już ten ostry, niepokojący ziąb, coroczny zwiastun rychłej zimy.

To ostatnie chwile mojej wolności. Przechodząc przez drzwi kabiny, wyzbywam się wszystkiego, czym do tej pory byłam. Całej siły, wszystkich praw.

Całej nadziei.

Przygryzam wargę i mrugam, bo w moich oczach wzbiera wilgoć.

Żegnaj, Naz. Może spotkamy się ponownie w innym życiu.

– Proszę przodem – zwracam się uprzejmie do Killiana.

Nawet jeśli jest rozbawiony lub rozdrażniony moją teatralną galanterią, to nic po nim nie widać. Jego uśmiech zniknął. Jego gęba przypomina kłoc nieociosanego drewna. Chyba nie mam co liczyć na odpowiedź z jego ust.

¹ Dzielnica w Manhattanie, Nowy Jork (przyp. red.).

Stawiam krok naprzód, ale on ani drgnie. Gdy przesu-
wam się w bok, on robi to samo, blokując mi drogę.

Bawi się ze mną, jak kot z myszką.

Rozdrażnienie daje mi kopa, dzięki któremu może
wytyczyć tu jakieś granice i ukrócić jego grubiaństwo.

– Słuchaj, pierwszy raz cię widzę, czyli jesteś nowy
w organizacji Dmitrija. Wynika z tego, że jesteś co najwy-
żej chłopcem na posyłki. To zadanie to twój sprawdzian.
Sprawdzian przydatności, lojalności, ale też inteligencji.

Wydziarany zbir unosi leniwie brew.

Biorę głęboki wdech i rzucam:

– Jeżeli uroiłeś sobie, że możesz mnie tknąć i on cię za
to nie zabije, to przeceniasz własną wartość.

– Za to ty nie doceniasz położenia, w jakim się znalaz-
łaś. Nie jestem twoją niańką, suko. Nie mogę cię zabić
ani spenetrować, ale poza tym mogę zajmować się tobą,
jak zechcę – warknął w odpowiedzi.

Jego niski głos jest jak papier ścierny, słysząc w nim
irlandzki zaśpiew.

Nie dziwi mnie, że Dmitrij przyjął do grona swoich go-
ryli nie-Rosjanina. W przeciwieństwie do włoskiej mafii,
do której wstąpić mogą wyłącznie etniczni Włosi, rosyj-
ska Brać jest znacznie bardziej inkluzywna. Nie zmienia
to faktu, że pewność w głosie Killiana mnie zaskoczyła.

Ja może i blefowałam, on nie.

Nie mogę uwierzyć, że Dmitrij pozwolił mu używać
wobec mnie siły. „Zajmować” się mną, jak zechce.

Na dnie moich trzewi porusza się, śliska niczym roz-
wijający się wąż, nić terroru.

Killian zauważa zmianę mojej miny i powraca jego
parszywy uśmieszek. Jego oczy lśnią złościwością.

– Co cię nie zabije, to cię wzmocni, nie?

Ta powiedzenie trafia do mnie wyjątkowo mocno, ze względu na wszystko, co przeżyłam. Nie tylko lata spędzone z Dmitrijem, ale też treningi baletu, w czasie których nieraz z moich palców u stóp niejednokrotnie krew lała się tak obficie, że przeciekała przez baletki.

– Co mnie nie zabije, niech lepiej ucieka – odpowiadam, zadzierając podbródek.

– Mocne słowa, jak na taką małą dziewczynkę.

Nie wystraszył się. I trudno się dziwić. Mam na sobie białą bawełnianą sukienkę i espadryle. Nie mam broni, nie znam sztuk walki. Trzęsę się z zimna i nadal jestem w lekkim szoku, bo niedawno uczestniczyłam w wybuchu auta, zastrzeliłam dwóch mężczyzn z bliskiej odległości i zawarłam z diabelskim pomiotem, który maltretował mnie przez siedem lat, pakt, że wrócę do niego w zamian za życie Naza.

Nie oznacza to jednak, że jestem całkowicie bezbronna.

Jeżeli wiara pomogła Mojżeszowi wydostać się z pustkowia po czterdziestu latach, to mnie też może pomóc.

– Może i jestem małego wzrostu – odpowiadam spokojnie, patrząc mu w oczy. – Ale jestem większa, niż ty kiedykolwiek będziesz. Nie możesz zrobić mi nic, czego nie doznałabym wcześniej, a jednak wciąż stoję. Możesz mi złamać wszystkie kości, ale mnie nigdy nie złamiesz.

Następuje chwila ciszy, w której przez jego twarz przeemyka kilka różnych emocji. Najpierw zaskoczenie. Za nim podziw. Potem, najbardziej zaskakujące, coś jakby żal.

Żal?

To ostatnia spójna myśl, jaką zdążyłam sformułować, zanim złapał mnie za gardło.

ROZDZIAŁ 2

Naz

Siadam na szpitalnym łóżku jak rażony prądem, a serce wali mi jak młot, bo jestem przekonany do szpiku kości, że coś jest strasznie nie tak.

– Eva?

Moje wołanie niesie się echem w pustej salce. Drzwi do łazienki po drugiej stronie pokoju, są otwarte, ale tam też jej nie ma.

Może wyszła do poczekalni porozmawiać z Connorem i Tabby. Może poszła coś zjeść. Może musiała rozprostować nogi. Przejść się. Tak, to możliwe.

Wszystkie moje teorie idą do diabła, gdy do salki wpada Connor.

– Eva odeszła – oświadcza.

– Jak to odeszła?

– Tak to, że Tabby ściągnęła z kamery bezpieczeństwa nagranie, jak Eva wychodzi drzwiami świetlicy dla pracowników, na odludnym zapleczu szpitala.

Urządzenie monitorujące moje tętno dostaje amoku, wyje, jakby samo dostało zawału. Connor wali w nie pięścią i w pomieszczeniu zapada cisza.

Próbuję się skupić, walcząc z zawrotami głowy i pobudzeniem wypełniającym moje żyły adrenaliną.

– Nie rozumiem. Dlaczego miałyby odchodzić? Jak ominięła naszych chłopaków? I dokąd poszła, do cholery?! – zadaję masę pytań, jestem w zupełnym szoku.

– Same dobre pytania, brachu – odpowiada posepnie Connor. – Obawiam się jednak, że nie znamy ani jednej odpowiedzi.

Odeszła? Eva? Nie, to na pewno nieprawda. Muszę ją znaleźć. Muszę ją chronić...

– Ej, uwaga!

Connor łapie mnie za rękę, bo prawie spadłem z łóżka i wylądowałem na kolanach. Jestem słaby. Zbyt słaby. Pierdolone znieczulenie. Pierdolony zamach na nasz samochód.

Pierdolony Dmitrij Ivanov.

Sama myśl o tym człowieku wpompowuje mi w żyły kolejną porcję adrenaliny. Daje mi to siłę, żeby się uspokoić. Trzepię głową jak pies, próbując ją oczyścić.

– Zaczynij od początku.

Connorowi nie trzeba dwa razy powtarzać. Wie, że muszę poznać wszystkie fakty i to *natychmiast*.

– Jakoś zaraz po drugiej nad ranem odwoziłem Tabby do firmy, żeby się kilka godzin przespała. Sprawdziłem, co u chłopaków na miejscu, puściłem wszystkim kontaktom w organach ściągania i w wojsku info, że nas zaatakowano, wykręciłem do starego kumpla z Langley, aby zapytać, czy może pociągnąć za kilka sznurków. Federalni przejmą to śledztwo od nowojorskiej policji, a chcę być na bieżąco. Jeżeli zdoła, będzie mnie informował o postępach dochodzenia.

Popędzam go niecierpliwymi ruchami głowy, żeby przechodził do sedna.

– Potem zadzwoniłem do Smitha, to jeden z naszych gości, który czuwał pod twoimi drzwiami. Zameldował, że

wszystko gra. Nikt nie próbował wejść do twojej salki. Budynek był szczelnie otoczony. Zero problemów. Wróciłem do szpitala, rozsiadłem się w poczekalni i na moment przymknąłem oczy, bo byłem wyjebany, a jak nie mogę sprawnie myśleć, to żaden ze mnie pożytek. Gdy się obudziłem, znowu skontaktowałem się ze Smithem. Powtórzył, że bez zmian, wszystko gra, ale postanowiłem przyjść i sprawdzić na własne oczy – relacjonuje, a ja słucham go w pełnym skupieniu. – I wtedy odkryłem, że Ewy nie ma w twojej salce. Smith mówi, że nigdzie nie wychodziła. Ale wtedy zdałem sobie sprawę, że zaczął zmianę zanim wyjechałem.

– A to oznacza, że już jej wtedy nie było – stwierdzam z łupiącym sercem.

Connor kiwa ponuro głową.

– Przeszukałem stołówkę, kaplicę, kible, wszystko. Potem zadzwoniłem do Tabby, żeby zaczęła szukać po swojemu.

Mrugam, bo oślepia mnie jasne światło, przelewające się przez żaluzje.

– Która godzina?

– Siódma piętnaście.

– Jezus, skoro wyszedłeś koło drugiej, to znaczy, że nie ma jej prawie ponad pięć godzin!

Connor obserwuje bez komentarza, jak człapię niepewnie do małej szafki po drugiej stronie salki, ciągnąc za sobą kropłówkę na metalowym stojaku. Zrywam bandaż z dłoni, wyrzucam igłę i odrzucam je na bok. W szafce, w plastikowym worku, są strzepy moich ciuchów. Rozszarpane bojówki. Buty taktyczne. Brudny T-shirt pokryty zaschniętą krwią.

– Naz.

Patrzę na Connora przez ramię. Wskazuje na czarną torbę leżącą na krześle obok mojego łóżka.

– Świeże szmaty i komórka.

Nie zaprzątam sobie głowy podziękowaniami ani pytaniami, kto to tu przyniósł. Nachodzi mnie ciężkie i ciemne jak burzowe chmury poczucie grozy. Niemal rozrywam suwak torby, wyciągam ze środka spodnie, koszulkę, buty i zaczynam się pośpiesznie ubierać. Zszyta, podłużna rana po odłamku w moim udzie wyje z bólu, gdy wciskam nogę w dżinsy. Zaciśkam zęby w męczarniach, ale ubieram się dalej.

– Czego dowiedziała się Tabby? Ma cokolwiek?

– Tak. Zaraz po twojej operacji Eva telefonowała z płatnego aparatu w korytarzu, na koszt rozmówcy.

Obracam się gwałtownie i wbijam w niego wzrok. Burzowa chmura grozy obejmuje już cały pokój.

– Do kogo? – pytam, chociaż znam już odpowiedź.

– Najpierw na jakąś międzynarodową centralę. A potem... nie wiemy. Numer był świetnie zamaskowany. Wszystko szło przez anonimowy serwer, potem przez jednorazową komórkę, i tak dalej, i tak dalej. Wiesz, jak to jest. – Przerzywa na moment. – Sześćdziesiąt sekund po tym telefonie ktoś do niej oddzwonił.

Patrzemy na siebie, krew szumi mi w skroniach.

– Niech zgadnę. Tego numeru też nie udało się zidentyfikować.

– Bingo.

Widzę po jego wzroku, co sobie myśli. Przymykam oczy, próbuję stłumić ryk frustracji, który chce się wyrwać z mojego gardła.

– Niemożliwe.

– A masz inny pomysł? Bo nie mniemam, żeby dzwoniła przez tajną linię pogawędzić z babcią.

Liche więzy, którymi do tej wstrzymywałem panikę, w końcu puszczają.

– Na chuj miałyby dzwonić do Dmitrija?! – wybucham, bo chociaż jest to oczywiste, to pragnę żyć w zaprzeczeniu.

Mój krzyk nie robi na Connorze najmniejszego wrażenia.

– Ty mi powiedz, brachu. Znasz ją lepiej.

Przez chwilę mam pustkę w głowie. A potem doznaję oświecenia: *chciała negocjować.*

Musiałem powiedzieć to na głos, bo Connor ściąga brwi i pyta:

– Ale co negocjować?

– Warunki kapitulacji – szepczę zmrożony przerażeniem.

Gdy stawiam krok, znosi mnie na bok, więc muszę podeprzeć się o ścianę, bo straciłbym równowagę. Ściana nie pomaga jednak opanować drgawek całego ciała.

Naz, nigdy nie zapomnę ani sekundy, przysięgam.

Wiedziałem, że to brzmi jak pożegnanie! *Wiedziałem!* Do jasnej cholery, psiakrew!

– Cóż, niezależnie od tego, co kierowało Evą, Tabby włąmała się do miejskich kamer kontroli ruchu drogowego i do wszystkich kamer bezpieczeństwa, jakie znalazła w okolicy, żeby ustalić jej ostatnią znaną lokalizację. Do wiemy się, dokąd poszła, to tylko kwestia czasu.

– Sprawdźcie lotniska – mówię, zalewając się zimnym potem. – Dworce, taksówki.

– Nie mogła dostać się aż tak daleko. Nie ma pieniędzy. Ani dokumentów.

Zasycha mi w ustach. Nie mogę złapać oddechu. Zrywam szpitalny fartuch, narzucam na siebie T-shirt, zapinam do końca dżinsy i walczę o zachowanie kontroli z szalejącymi we mnie emocjami. Wbijam gołe stopy w buty, nie marnuję czasu na sznurowanie.

– Jeżeli Dmitrij maczał w tym palce, to ich nie potrzebowała. Ruszajmy.

Pół godziny później wkraczamy przez stalowe drzwi do siedziby Metrixa. Z moimi płucami jest coś poważnie nie tak, bo mam wrażenie, że ktoś rozpałił sobie ognisko w mojej piersi, przez co ciągle brakuje mi powietrza. Ogień trawi też moje trzewia, ale to akurat nie jest skutek eksplozji sprzed kilku dni.

To strach, czysty strach.

Doskonale wiem, jakim posranym, bezdusznym bandziorem jest Dmitrij Ivanov. Myśl, że mógłby choć zbliżyć się do Ewy, ścina mi krew w żyłach.

Myśl, że gdy się kochaliśmy, Eva już wiedziała, że odejdzie, jest niemal równie bolesna.

Tabby wita nas zaraz za drzwiami, ma na sobie te same ciuchy, co wczoraj. Jest blada, ciągle ziewa, ma pod oczami cienie niewyspania. Kłuje mnie poczucie winy, że z tego wszystkiego zrobił się taki burdel, ale natychmiast je tłumię. Później będę przeproszał, gdy już odzyskam Ewę, a mój mózg zacznie normalnie pracować.

– Księżniczko. – Connor zamyka ją w niedźwiedzim uścisku i zakopuje twarz w jej szyi.

– Hej, słońce – odpowiada cicho i dodaje ze śmiechem: – Nie złam mi kręgosłupa, tępaku. Jest mi potrzebny.

Connor ją puszcza, a Tabby spogląda na mnie. Jej oczy mają barwę świeżo ściętej trawy i, jak zwykle, nic im nie umyka.

– Cholera. Mam nadzieję, że czujesz się lepiej niż wyglądasz.

– Nie. Opowiadaj, bo zaraz mi odpierdoli.

Przez moment ocenia moją mowę ciała i... od razu przechodzi do sedna:

– Mówiąc najkrócej: nie mam nic – informuje, krzywiąc się. Płonący żar w mojej klatce piersiowej przybiera na sile, choć myślałem, że to niemożliwe. Pod moimi żebrami szaleje pożoga, rozrywa mi gardło. Zaraz zacznę ziać ogniem.

– Jak to nic? – cedzę przez zęby z najwyższym wysiłkiem.

– Tak to, że pojechała metrem na Penn Station, a tam rozplynęła się w powietrzu.

– Czyli wsiadła do pociągu! – wykrzykuję podekscytowany.

– Możliwe. Analiza nagrań ze wszystkich kamer i potwierdzenie tego założenia sporo nam zajmie, ale...

– Ale co?! – rzucam niecierpliwie, gdy nie kończy zdania.

– To jeden z najruchliwszych dworców w zachodniej hemisferze. Codziennie przewija się przez niego ponad 350 000 ludzi.

– Twierdzisz, że potrzebujesz do pomocy więcej par oczu?

– Twierdzę, że to idealne miejsce, żeby osiągnąć dwa cele: zniknąć w tłumie i żeby zmylić potencjalną pogoń.

Mój mózg działa lepiej niż płuca, bo szybko dodaję dwa do dwóch.

– Chciała, żebyśmy pomyśleli, że wsiadła do pociągu?

Tabby wzrusza ramionami.

– Pewności nie mam. Wiem natomiast, że Eva jest mądra, zaradna i szybko myśli. Założyła, że od razu zaczniesz jej szukać.

Tabby nie musi dodawać oczywistego. Jeżeli Eva zadała sobie trud, żeby zmylić pościg, to znaczy, że nie chce zostać odnaleziona.

Chyba jednak musimy się lepiej poznać, bo jeżeli myśli, że jej nie znajdę, to mnie, kurwa, nie zna.

Gniew pozwala mi się wznieść ponad ból w ciele i strach w sercu.

– Okej. Jeżeli pójdziemy tym tropem, to Eva powinna nadal być w Nowym Jorku.

– Musimy zacząć szukać wokół Penn Station – wtrąca Connor, kiwając głową. – Wyjścia z dworca i najbliższa okolica.

– Porusza się pieszo – mówię cicho, moje myśli mkną z prędkością światła. – Chyba że ukradła rower...

– Albo samochód – dodaje Tabby, nieco zbyt spokojnie jak na mój gust. Gdy piorunuję ją groźnym wzrokiem, tłumaczy: – Nasir, po prostu staram się nie przeoczyć żadnej możliwości.

– Eva nie umie prowadzić – stwierdzam. – Nie ukradła auta.

– W tym mieście nikt nie bierze autostopowiczów – dorzuca Connor.

– Porusza się pieszo – powtarzam głośniej. Moje serce bije nierówno, czuję w uszach coraz głośniejszy szum, bo oto wpadam na nowy pomysł. – Jaki jest następny duży węzeł komunikacyjny w pobliżu Penn?

– Najbliżej dworzec autobusowy Port Authority – odpowiada Tabby.

Próbuję sobie wyobrazić, jak Dmitrij zostawia Evie bilet autobusowy w kasie, ale jakoś mi to nie pasuje. Autobus jest zbyt przyziemny. Miliarder nie zniżyłby się do transportu publicznego. Pociągi mają przynajmniej jakieś styl. Jeżeli zależy ci na szybkiej ucieczce, to nie wsiadasz do pieprzonego autokaru.

Coś mi się przypomina. To było wiele miesięcy temu, pierwszy raz czytałem dane Ewy, nazajutrz miałem lecieć z Los Angeles do Nowego Jorku, żeby zacząć robo-

tę w Metrix. Siedziałem sam w pokoju w domu kumpla w Hollywood, w ogrodzie szalała moja impreza pożegnalna. Otworzyłem plik, który przysłał mi Connor i pierwszy raz ujrzałem piękną, tajemniczą Evę Ivanovą...

Która wyskoczyła w środku nocy z jachtu i zniknęła gdzieś na morzu.

– Doki – mówię i w chwili, gdy to słowo opuszcza moje usta, już wiem, że mam rację.

– Z Penn do doków jest kawałek... – stwierdza Connor sceptycznie.

– Do zrobienia, jeśli jesteś odpowiednio zmotywowany – odpowiadam. Zwracam się do Tabby: – Możesz sprawdzić, jakie statki opuściły port od północy do teraz?

– Czy mogę... – prycha lekceważąco. Odwraca się i wychodzi bez słowa, zadzierając podbródek i bujając kucykami na boki.

– To znaczyło tak czy nie? – pytam Connora zdezorientowany.

– To znaczyło: „Stary, patrz i, kurwa, podziwiał” – wzdycha. – A przy okazji też: „Nie obrażaj mojej inteligencji, przygłupie”.

– No tak, powinienem był się domyślić.

Chcę iść za Tabby, ale Connor kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Moment, chcę z tobą pogadać.

– Nie mamy czasu...

– Brachu, musimy rozważyć alternatywny scenariusz zniknięcia Ewy – oznajmia mężczyzna stanowczo.

Wbijam w niego spojrzenie, wiem, dokąd zmierza.

– Nie wróciłaby do niego, gdyby nie uznała, że dzięki temu zapewni mi bezpieczeństwo. Sam czytałeś te raporty szpitalne. Wiesz, co jej robił. Ona go, kurwa, nienawidzi – cedzę.

– W to nie wątpię – odpowiada łagodnie. – Ale co jeśli wcale do niego nie wróciła?

– Że co? – dopytuje, mrugając szybko, bo nie nadażam.

– Mogła być przygotowana na różne ewentualności. Tajne konta bankowe, fałszywe tożsamości. Mogła przygotować się na setki różnych sposobów, żeby znowu zniknąć, gdyby Dmitrij wpadł na jej trop. Tabby ma rację, Eva jest mądra. Myślę, że skoro zadała sobie tyle trudu, by wyrwać się z dawnego życia, to miała jakiś plan B. A może nawet C, D i E.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że może wcale nie wraca do Dmitrija. Może jest w drodze do Tajlandii, do Australii. Może ucieka na jebaną Islandię, kto wie? Chodzi mi o to, że może powinieneś rozważyć możliwość, że może nie wraca do niego... ale też nie zostaje z tobą...

Mam wrażenie, jakby wbił mi w mostek szpikulec do lodu.

– Kocha mnie – odpowiadam, a warkot w moim gardle narasta.

– Powiedziała ci to?

Gdy zaciskam usta i nie odpowiadam, Connor zabiera dłoń z mojego ramienia i krzyżuje ręce na piersi.

– Okej, chcę jedynie, żebyś był gotowy na możliwość, że Eva może się nie ucieszyć, gdy znowu cię zobaczy. Jeśli ją znajdziemy.

– Kiedy ją znajdziemy – poprawiam go. – Zresztą to ty zasugerowałeś, że dzwoniła ze szpitala do Dmitrija.

– Biorąc pod uwagę całą sytuację, to całkiem możliwe. Ale mogła też dzwonić do jakiegoś pomocnika. Kogoś, kto przelewa jej kasę. Kogoś, kto pomógł jej uciec za pierwszym razem. Nie wiemy. Nie wiemy praktycznie nic o tej kobiecie. Poza tym, że była z Dmitrijem siedem lat...

– Wbrew swojej woli!

– ...i że potem, przez chwilę, była z tobą, a teraz uciekła.

Zanim odzywam się ponownie, potrzebuję chwili na uspokojenie gniewu. Wiem, że Connor chce pomóc i że jego sugestie mają ręce i nogi.

Wiem też, że całkowicie się myli.

– Rozumiem. Szanuję twoje zdanie. Ale odpowiedz mi na to: jakbyś się poczuł na moim miejscu, gdybyś słuchał, jak ja podważam motywy Tabby?

Jego twarz zachodzi mrokiem. Jego oczy, czarne jak oceaniczne dno o północy, stają w ogniu.

– No, tak właśnie myślałem. Więc, chciałbym teraz poszukać mojej kobiety, jeśli nie masz nic przeciwko.

Ruszam korytarzem w stronę, w którą poszła Tabby. Przez całą drogę słyszę za plecami niski rechot Connora.